

Maski (wreszcie) opadły...

10 lipca 2023

Z dniem 30 czerwca br. rozporządzeniem Ministra Zdrowia formalnie zakończył się stan zagrożenia epidemicznego na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej. Tym samym definitywnie zniesiony został obowiązujący przez ponad trzy lata nakaz zakrywania ust i nosa, czyli – mówiąc popularnie – noszenia maseczek ochronnych w miejscach publicznych, od ponad roku ograniczony już tylko do placówek zdrowotnych – szpitali, przychodni i aptek.

Obowiązek zakrywania twarzy nie tylko w obiektach zamkniętych, lecz także w przestrzeniach otwartych (czyli na tzw. świeżym powietrzu) wprowadzono w Polsce z dniem 16 kwietnia 2020 r., chociaż rozporządzenie ówczesnego ministra zdrowia Łukasza Szumowskiego w tej sprawie ukazało się dopiero 2 maja 2020 r., a odpowiednią podstawę ustawową uchwalono w grudniu 2020 roku... Nakaz ten – podobnie jak zarządzony ponad miesiąc wcześniej ogólnokrajowy lockdown – miał ograniczyć rozprzestrzenianie się wirusa SARS-CoV-2, którego epidemia oficjalnie została ogłoszona 20 marca 2020 r. Za wprowadzeniem nowego obowiązku już wcześniej żarliwie agitowały popularne tabloidy.

Po kilku tygodniach, od 30 maja 2020 r. nie trzeba już było zakładać maseczek na wolnym powietrzu pod warunkiem zachowania dystansu 2 metry. Miało to niewątpliwy związek z wyborami prezydenckimi, przed którymi przekonywano wręcz, że wirus już całkowicie ustąpił – niemniej maseczki nadal obowiązywały w przestrzeni publicznej sklepów, urzędów, świątyń, barów i restauracji oraz w komunikacji zbiorowej, a nawet w taksówkach. Tuż po wyborach, 31 lipca 2020 r., wobec wzrostu ilości zakażeń do – uwaga! – ok. 600 dziennie Ministerstwo Zdrowia rozważało przywrócenie nakazu noszenia masek na ulicach – ale na szczęście do tego nie doszło.

Przez długi czas dopuszczano możliwość zasłaniania nosa i ust

za pomocą szalików, chustek, kominiarek lub przezroczystych przyłbic, które wiele firm, w tym Poczta Polska, kupiło swoim pracownikom z racji ich mniejszej uciążliwości przy całodziennym noszeniu. 27 lutego 2021 r. zabroniono i tych sposobów ochrony – odtąd należało nosić wyłącznie tzw. maseczki chirurgiczne, stosowane przez personel medyczny podczas operacji.

Niespełnienie tego obowiązku groziło mandatem. Ofiarami tej przymusowej „maskarady” byli głównie ludzie młodzi. To właśnie oni byli karani przez policję, płacąc w najlepszym razie po kilkaset złotych, chociaż „wrażliwy społecznie” premier Morawiecki straszył karami wynoszącymi nawet 30 tys. zł.

Maseczkowa psychoza wszechobecna była we wszystkich tzw. mainstreamowych mediach. Nagłaśniano w nich niemal każdy przypadek agresji ze strony „bezmaskowców” – nie informowano jednak o znacznie częstszych atakach na osoby, które pojawiły się bez właściwie założonej maski w sklepie czy w kościele.

Ta „jedynie słuszna linia” forsowania była nie tylko w propagandowych programach informacyjnych. Dla przykładu, w niby satyrycznym programie „W tyle wizji”, regularnie piętnującym – jak to ujmował red. Stanisław Janecki – „covidiotów”, prowadzący Marcin Wolski przekonywał, że jak się na coś (czyli na maseczki) umówiliśmy, to powinniśmy tego przestrzegać; bo po pierwsze to władza wybrana przez naród, czyli przez nas samych, po drugie porządek musi być. Pomijając „drobiazg”, że nikt się w tej sprawie z nikim nie umawiał, zarówno władza, jak i obywatele winni zachowywać zdrowy rozsądek. Rząd musi pamiętać, że jego polecenia muszą być rozsądne, a społeczny opór, obywatelskie nieposłuszeństwo powinny powstrzymywać władzę przed wydawaniem poleceń głupich lub niewykonalnych.

Apologetom powszechnego zamaskowania zdarzały się chwile szczerości. Jeśli nawet przyznawali, że skuteczność masek jest niewielka, zaraz dodawali, że mają być one „widocznym znakiem,

że wirus jest wśród nas”. Nikt rozsądny chyba nie powie, że wyjęta z mało sterylnej kieszeni i używana po wielokroć maska zabezpiecza przed czymkolwiek.

Pytany o to w jednym z wywiadów prof. Krzysztof Simon – jeden z największych „jastrzębi” covidowych restrykcji i szczepień – powiedział, że maseczki trzeba wymieniać mniej więcej co godzinę. Zakładając skromnie 8 maseczek dziennie na osobę, wychodzi, że 4 – osobowa rodzina przez miesiąc potrzebowałaby ich około tysiąca.

Licząc zaledwie po 2 zł za sztukę, wyszłoby dwa tysiące złotych miesięcznie. Kogo byłoby na to stać? Już tylko z tego wyliczenia wynika, że należyte wypełnienie zasad sanitaryzmu społecznego było po prostu niemożliwe. Wobec maseczkowego terroru Polacy przyjęli więc zasadę biernego oporu – większość nosiła je dla tzw. świętego spokoju – tak, by można było normalnie oddychać nosem. Ludzie zdawali sobie sprawę, że wielogodzinne wdychanie własnego dwutlenku węgla, w dodatku zawilgoconego, nie służy zdrowiu.

Symbolem walki z bezsensownym obowiązkiem stał się poseł Grzegorz Braun z Konfederacji, którego marszałek Sejmu Elżbieta Witek za brak maseczki regularnie wykluczała z obrad Sejmu. Demaskował on hipokryzję – jak sam mówił – „zjednoczonej koalicji covidowej”, łączącej wszystkie (oprócz Konfederacji) ugrupowania sejmowe, których posłowie opowiadali się za nakładaniem kolejnych restrykcji, jednak natychmiast po wyjściu z sali obrad zdejmowali maseczki.

Jak wyliczył „Fakt” (31 grudnia 2021 r.), Prezydium (czyli marszałek i wicemarszałkowie) Sejmu nałożyło na posła Brauna kary w łącznej (wówczas) wysokości 155 tys. zł (z tego 90 tys. zł za brak maseczki i 62,5 tys. zł za słowa „będziesz pan wisiał” pod adresem ministra zdrowia Adama Niedzielskiego). Niemal dokładnie w tym samym czasie, we wrześniu 2021 r., na meczu piłkarskiej reprezentacji Polski na Stadionie Narodowym w Warszawie obecnych było 56 tys. widzów – w tym prezydent RP,

wicepremier Gliński i prezes TVP Jacek Kurski – bez masek i bez zachowania nakazywanego dystansu.

Nie były to jedyne absurdy covidowego przymusu. Skoro noszenie maseczek było tak ważne, dlaczego przez ponad trzy lata narzucania i surowego egzekwowania tego obowiązku nie zorganizowano systemu ich bezpiecznego odbierania, składowania i utylizacji jako niebezpiecznych odpadów medycznych, tak jak to jest w przypadku np. zużytych strzykawek lub bandaży? Jeśli COVID-19 był aż tak zakaźny i niebezpieczny, że nie wykonywano sekcji zwłok osób zmarłych z jego przyczyny i postulowano wręcz ich kremację zamiast tradycyjnego pochówku – to dlaczego na chodnikach i ogólnodostępnych śmietnikach naszych miast i wsi walały się tysiące zużytych masek? Dlaczego nie wrzucano ich do specjalnych, hermetycznych pojemników odbieranych przez specpersonel w kombinezonach, takich, jakie pokazywano nam w relacjach z covidowych szpitali? Ci sami ludzie, którzy martwili się tonami tworzyw sztucznych pływających w morzach i oceanach, milczeli wobec informacji o milionach obecnych tam zużytych maseczek...

Sytuację zmienił dopiero wybuch wojny na Ukrainie. Wprawdzie jeszcze 23 lutego 2022 r., w przeddzień rosyjskiej agresji, wiceminister zdrowia Waldemar Kraska w porannym wywiadzie dla radiowej „Jedynki” nie przewidywał szybkiego zniesienia tego obowiązku i apelował, aby każdy miał przy sobie maskę w kieszeni (!).

Jednak po miesiącu nakaz noszenia maseczek ochronnych w zamkniętych przestrzeniach publicznych oraz w środkach komunikacji zbiorowej zniesiono. Oficjalnie podano, że to z powodu spadającej liczby zakażeń i zgonów – jednak prawdziwą przyczyną było pojawienie się w Polsce tłumów uchodźców z ogarniętej wojną Ukrainy, od których nie wymagano paszportów covidowych, szczepień i maseczek – co każdy mógł zobaczyć w telewizorze. Dalsze egzekwowanie tych wymogów od obywateli RP mogłoby prowadzić do konstatacji, że są oni we własnym kraju traktowani gorzej niż uchodźcy – i do wzrostu poparcia dla

podnoszącej ten temat Konfederacji.

Aby chociaż trochę złagodzić szok, jaki decyzja o zniesieniu przymusowej „maskarady” mogła wywołać u osób wierzących dotąd bezkrytycznie propagandzie medialnego mainstreamu, nakazano dalej nosić maski w placówkach służby zdrowia. Nie tylko w szpitalach i przychodniach, których personel od 1 marca 2022 r. musiał już być obowiązkowo w 100 proc. zaszczepiony – ale także w aptekach, które przecież niczym nie różnią się od innych sklepów. Stan epidemii odwołano formalnie dopiero z dniem 15 maja 2022 r., zastępując go zniesionym dopiero teraz stanem zagrożenia epidemicznego. Niemniej jeszcze 23 maja ub. r. prof. Horban twierdził, że jesienią 2022 r. maseczki znów mogą być potrzebne.

Koniec końców okazało się, że po nagłym zniesieniu masek w związku z napływem uchodźców z Ukrainy nic złego nie stało, podobnie jak w innych państwach, które ów maseczkowy obowiązek zniosły dużo szybciej. Np. amerykański stan Teksas – wbrew krytyce prezydenta Bidena – uczynił to przeszło rok wcześniej (1 marca 2021 r.) – i nic się tam z tego powodu nie wydarzyło. Gdyby było inaczej, nasi rodzimi sanitaryści nie odpuściliby takiej okazji, by podkreślić „jedynosłuszność” prowadzonej przez nich „linii” walki z covidem.

Trudno oprzeć się refleksji, że gdyby nie rosyjska agresja na Ukrainę i związany z nią napływ milionów uchodźców, maski w sklepach, miejscach pracy, urzędach, bankach, szkołach, galeriach handlowych nosilibyśmy jeszcze ponad rok dłużej – zostałby on zniesiony dopiero teraz. I to nie w związku z wakacjami i sezonem urlopowym, lecz z powodu zbliżających się wyborów parlamentarnych.

Autorstwo: Zdzisław Koscielak

Źródło: [NCzas.com](https://nczas.com)